

Maria BRZEZIŃSKA

PRZEZ TELEFON

Tęskniło się, żeby z kimś pogadać. I nagle brzęk komórki. Ksiądz profesor Tadeusz Styczeń. W słuchawce jasny, nieco pospieszny głos człowieka, który się upewnia na przykład, czy znajomy dotarł pociągiem do Warszawy: „Słuchaj, gdzie ty jesteś? Bo jakoś mi znikłaś z oczu i martwię się, że może jesteś chora...”

Cztery lata temu, w listopadzie, założyłam w swoim laptopie plik „Piszę bloga olaboga”; żaden tam blog oczywiście, raczej rodzaj dziennika, zapisy okruczeń z codzienności. Pierwsza notatka w tym nieco-dzienniku to opis rozmowy z księdzem profesorem Tadeuszem Stycznem. Przytaczam w całości:

„Dzwonię wieczorem (11 XI 2006) do ks. prof. Tadeusza Stycznia ze spóźnionymi życzeniami imieninowymi, trochę z wyrzutami sumienia, słyszałam, że choruje, a dawno się nie odzywałam. Jeden z najbliższych przyjaciół Jana Pawła II, dyrektor Instytutu jego imienia w KUL, obdarza mnie ogromem bezinteresownej serdeczności; w języku Kościoła takie zjawisko nazywa się łaską. Wyluzowana z racji zwolnienia lekarskiego («gazet nie czyta, radia nie słucha») gawędzę o tym i tamtym. Nie doczekawszy się gratulacji, a przynajmniej dobrego słowa, sam Ksiądz Profesor wtrącił mimochodem, że niedawno wrócił z Warszawy, gdzie parę godzin temu przyjął z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Pamiętasz, zwrócił się do mnie Laureat, że przyznał mi je prezydent Kwaśniewski, ale od niego nie chciałem, nie mogłem przyjąć... I znowu gadamy o tym i owym – o bólach kręgosłupa (Księdza Profesora i moich) i o wypadku na rowerze (moim). Po kilkunastu minutach słyszę brzęk szklanki i łyżeczki i myślę z przerażeniem, że «wciąłam się» w pierwsze po Warszawie łyki herbaty, staram się rozmowę zakończyć: – Z Bogiem! A Ksiądz Profesor, najwyraźniej jednak uradowany moją obecnością za «sznurkiem», odzywa się z mocą jak papież na Anioł Pański: «Niech cię błogosławi Bóg wszechmogący, teraz i na wieki wieków». Przekładam słuchawkę do lewej ręki i żegnam się pobożnie. Wzruszenie staje na palcach i sięga do nieba.”

Druga z serdecznie pamiętanych rozmów telefonicznych wydarzyła się rok wcześniej. Na ostatnie przed emeryturą, bardzo intensywne, gorące miesiące mojej pracy zawodowej spadło nieoczekiwane ochłodzenie w formie sanatorium w Krynicy. Dwa tygodnie błotnego listopada i śniegi początku grudnia. Jednoosobowy pokój był mi „radością i pokojem”, inaczej niż czteroosobowy stół, który dzieliłam z panem Służbowym, jego żoną i jeszcze inną kuracju-

szką, której nerwowe tiki odbierałam początkowo jako wyraz podejrzania, że coś wyspałam do zupy... Żarty żartami, świętej pamięci księżę Tadeuszu, ale naprawdę przeżywałam problem moralny: Czy mogę uciec? Dałoby się to pewnie przeprowadzić, ale pomyślałam: Jak oni będą się z tym czuli? Czy ucieczka nie oznaczałaby, że uważam się za lepszą od nich? Co by zrobił – pomyślałam – twój, Księżę Profesorze, mistrz Karol Wojtyła, o którym przed laty opowiadano, że w hoteliku nad kulowską biblioteką nigdy miejsca nie wybierał, pokornie przyjmując nocleg w kilkuosobowym pokoju? I może dlatego, że nie uciekłam, zasłużyłam – tak dzisiaj myślę – na ten telefon:

„Dłuzżyło się – znowu cytuję swoje zapisy – sanatoryjna rzeczywistość znana na wylot, dzień krótki, w kinie to samo, lubelscy przyjaciele w przekonaniu, że «ona zaraz przecież wraca»; tęskniło się, żeby z kimś pogadać. I nagle brzęk komórki. Ksiądz profesor Tadeusz Styczeń. To mi jeszcze niedziwne, bo miewaliśmy przecież dość często kontakty związane z moją pracą w radiu, choć widywaliśmy się może raz na pół roku. W słuchawce jasny, nieco pospieszny głos człowieka, który się upewnia na przykład, czy znajomy dotarł pociągiem do Warszawy: «Słuchaj, gdzie ty jesteś? Bo jakoś mi zniknął z oczu i martwię się, że może jesteś chora...». Ucieszyłam się: Wprost przeciwnie, wprost przeciwnie, Księżę Profesorze, właśnie się kuruję. «A, to dobrze, to mnie uspokoiłaś. To z Bogiem, Marysiu»”.

Rozmowa trzecia, sprzed dwóch, trzech lat. Zaskakująca, długa, chociaż mało konkretna. Raczej słuchałam. Dziś wiem, że była to rozmowa pożegnalna, na progu nieuleczalnej choroby i odchodzenia Księdza Profesora na spotkanie ze swoim Mistrzem przed obliczem Pana.

A poznaliśmy się w lubelskim mieszkaniu naszych wspólnych Przyjaciół (dziś także już nieżyjących, dlatego piszę z dużej litery). Dla nich byłam Marysią i tak zostałam przedstawiona słynnemu (nie mogłam przecież o nim nie słyszeć) księdzu Tadeuszowi. Był to czerwcowy wieczór, gospodarz z gościem nie odrywali oczu od ekranu telewizora, na którym polscy piłkarze zbliżali się do finału mistrzostw świata (Mundial 1974). Przy celnym strzale „naszych” wielebny gość zerwał się z fotela i zwróciwszy się w stronę nowo poznanej blondynki zawołał: „Gol, Marysiu, gol!”. I tak zostało (z Marysią, nie z gola-mi): ja – „Księżę Profesorze”, ksiądz Tadeusz – „Marysiu”.

W archiwum Radia Lublin jest wiele zapisów wypowiedzi księdza Tadeusza Styczenia; nie znikają, można wracać do ich treści i – to stanowi największą siłę radia – do żywego głosu nieżyjącego już człowieka.

Dziękuję, Księżę Profesorze, że byłeś. Dobrze, że jesteś.